



Pielgrzymki z diecezji na jasnogórskim szlaku

600 km do Czarnej Madonny



tekst

ANDRZEJ URBAŃSKI

redaktor wydania

Przez lata wędrowali razem, odkrywali nowe przestrzenie. Często dzięki i niedostępne. Podróż do Peru zakończyła się dla nich tragicznie. Po śmierci Celiny Mróz i jej męża Jarosława Frąckiewicza kajakarze i przyjaciele zamordowanych spotkali się m.in. na Mszy św. w kościele dominikanów w Gdańsku. Przynieśli ze sobą wiosła przewiązane czarnymi wstążkami. Planują doroczny spływ kajakowy poświęcony pamięci Celiny i Jarka. Chcą także pojechać na miejsce zbrodni, by odprawić tam Mszę św., aby zło już się nie rozprzestrzeniło. Pragną przebaczyć. O to przebaczenie poprosili ich już sami Indianie, mieszkający nad rzeką Ukajali. Więcej o tej historii pisze ks. Sławomir Czalej na s. IV–VI. Pamiętajmy, że modlitwa z całą pewnością przyda się każdemu, także wędrującym po jasnogórskich szlakach pielgrzymom, którzy wyruszyli z Pomorza. A na koniec coś na odprężenie, czyli wakacyjne konkursy, które cieszą się dużą popularnością. Do wygrania książki o tematyce kaszubskiej i podróżniczej oraz całoroczne wejściówki do oliwskiego zoo. Więcej na s. VII i VIII.



ANDRZEJ URBAŃSKI

– Ciało cierpi, ale dusza się raduje – opowiada o swojej wędrówce na Jasną Górę Krystyna Zielman z Gdańska. Do Częstochowy wyruszyli już wszystkie grupy pielgrzymkowe z Wybrzeża.

Kilkaset osób z Gdańskiej Pieszej Pielgrzymki wyruszyło na Jasną Górę. „W Komunii z Bogiem” – to tegoroczne hasło przewodnie pątników. – Trzeba jednak pamiętać, że pielgrzymka to coś więcej niż urlop czy wypoczynek. To wysi-

łek, którego nie można porównać ani z pracą fizyczną, ani z odpoczynkiem nad jeziorem – opowiada K. Zielman. To także czas pewnego rodzaju umartwienia, ale i radości z bycia z drugim człowiekiem. – Przede wszystkim są to jednak chwile odkrywania relacji z Panem Bogiem – podkreśla ks. Krzysztof Ławrukajtis, kierownik Gdańskiej Pieszej Pielgrzymki na Jasną Górę.

Pielgrzymi z Gdańska wyruszyli zaraz po porannej Mszy św., odprawionej 28 lipca w bazylice Mariackiej. W ciągu 16 dni wędrówki po polskich drogach przejdą prawie 600 kilometrów.

Ci, którzy nie są w stanie pielgrzymować pieszo, mogą przyłączyć się do tzw. Grupy Złotej. – Jest ona niejako

Ksiądz Krzysztof Ławrukajtis zachęca do modlitewnego wsparcia pielgrzymów w tzw. Grupie Złotej

duchowym zapleczem pielgrzymki. Osoby pozostające w domach proszą pątników o modlitwę. Kapłani podążający do jasnogórskiego sanktuarium każdego dnia odprawiają Msze św. w ich intencjach, a wszyscy pielgrzymi dołączają swoje wyrzeczenia i codzienną modlitwę – dodaje ks. Ławrukajtis.

Warto przypomnieć, że pielgrzymkę można śledzić w internecie. Treść konferencji, codzienne serwisy z trasy, audycje radia pielgrzymkowego – to wszystko znajdziemy na stronie internetowej www.pielgrzymka.gda.pl.

Tegoroczny sezon pielgrzymowania zakończy się 14 sierpnia w Sanktuarium Matki Bożej Brzemiennej w Gdańsku-Matemblewie Apelem Jasnogórskim. au

Ks. Jerzy
Stolczyk

Pielgrzymowanie to droga, na którą warto wyruszyć. Każdy chrześcijanin powinien przynajmniej raz zdecydować się na taki krok. Celem naszej pielgrzymki jest Maryja, ale przede wszystkim odkrywanie celu ostatecznego, jakim jest niewątpliwie spotkanie z Bogiem. Podczas wędrówki zbliżamy się do siebie, odkrywamy w sobie przeróżne talenty. Zastanawiamy się nad myślą przewodnią, która w tym roku związana jest z Bogiem i komunią z Nim. To nie jest wcale proste, by podczas zmagania się z własnymi słabościami, bólem, pomyśleć jeszcze o bliźnim, który idzie koło nas, pomyśleć o Bogu. Znaleźć czas na refleksję. Ale jednocześnie to piękne, gdy ten czas w ciągu każdego dnia odkrywamy. Ważne jest, by wzajemnie sobie pomagać, dostrzegać nie tylko własne sprawy, ale także te związane z drugim człowiekiem, który razem z nami wędruje do tronu Matki Bożej. Razem można naprawdę dużo więcej, tak jak w życiu codziennym, w pracy, szkole, wśród przyjaciół. W komunii z Bogiem można góry przenosić.

Przewodnik
grupy biało-czerwonej

Malbork znów niezdojany

REKONSTRUKCJA HISTORYCZNA. Gdyby król Polski Władysław Jagiełło miał do dyspozycji współczesnych dzielnych rycerzy-rekonstruktorów, w 1410 r. zajęliby zamek niechybnie. Od 21 do 24 lipca br., już po raz dwunasty, choć po raz pierwszy w reżyserii i scenografii Bogusława Wołoszańskiego, odbyło się kolejne oblężenie stolicy państwa krzyżackiego. – Chciałem, żeby w widowisku dominowała prawda historyczna – podkreślił Wołoszański. I rzeczywiście, prawie dwumiesięczne oblężenie skończyło się dla strony polskiej porażką. W 1410 r. zdecydowało o tym kilka czynników. M.in. zdecydowana postawa komtura ze Świecia Henryka von Plauena, nieprzygotowanie wojsk polsko-litewskich do długotrwałego oblężenia, zagrożenie granic Rzeczypospolitej przez sprzymierzeńców zakonu. Może i dobrze, bo każdy wystrzał z armaty wart był wówczas tyle co dwie krowy. Kilkadziesiąt lat później, podczas



Rekonstrukcja bitwy była bardzo widowiskowa

wojny 13-letniej, krzyżacka załoga zamek, która składała się w większości z najemników, poddała się Polakom bez krwawej jatki. Rekonstrukcji towarzyszyły efekty specjalne: huk z „puszek” i hakownic. Również w walce rycerze może i nieco przeholowali, bowiem niezręcznie spod skrzyżowanych mieczy leciały iskry widoczne aż na

widowni. Przeżyli wszyscy, poza jednym krzyżackim zdrajcą, który nie chciał walczyć z Polakami. Powiesili go bracia na rozkaz von Plauena. Pozostał nieżywy przez całą godzinę. W rolę króla Jagiełły wcielił się Karol Strasburger, Mikołaja Trąbę zagrał Marek Siudym, a wstrętnego komtura von Plauena – Krzysztof Warunek. **scz**

Wakacje i ewangelizacja

ZESPÓŁ WOKALNO-INSTRUMENTALNY „PRZEMIENIENIE” (na zdjęciu) zaprasza na koncerty. Grupa powstała w kwietniu 1983 r. i działa przy parafii św. Michała w Katowicach. Jest laureatem wielu polskich konkursów i festiwali, organizuje wiele koncertów muzyki religijnej. Jeśli trzeba, pomaga innym. Śpiewem i muzyką wzbogaca spotkania liturgiczne, a podczas koncertów przekazuje wartości chrześcijańskie i ogólnoludzkie, które służą

przemianie na lepsze człowieka oraz środowiska, w którym żyje. Od 25 lat, po całorocznej działalności w parafii, grupa organizuje wspólne wakacje, podczas których ewangelizuje, grając koncerty pieśni religijnej. Najbliższe odbędą się w niedzielę 7 lipca o godz. 21 w Sanktuarium Królowej Polskiego Morza w Swarzewie, oraz w poniedziałek i wtorek 8 i 9 lipca o godz. 19.45 w kościele Wniebowzięcia NMP we Władysławowie. **au**



ARCHEWIM ZESPÓŁU

Krew na wagę złota

GDYNIA. Latem krew potrzebna jest jeszcze bardziej niż zwykle. Niestety, w wielu szpitalach brakuje tego najcenniejszego leku. Najbliższą okazją do pomocy innym będzie ambulansowy pobór krwi na parkingu przed Urzędem Miasta Gdyni (al. Marsz. Piłsudskiego 52/54) pod hasłem „Pracownicy magistratu krew oddają – gdynian również zapraszają” w godz. 9.00–13.00. Jego organizatorem jest Klub Honorowych Dawców Krwi przy Urzędzie Miasta Gdyni. Przypomi-

namy o konieczności posiadania przy sobie dokumentu potwierdzającego tożsamość. Najbliższe akcje odbędą się 8 i 29 sierpnia. Pełnoletnie i zdrowe osoby mogą także oddać krew w centrum krwiodawstwa w Gdyni-Redłowie (ul. Powstania Styczniowego 9b), od poniedziałku do piątku w godzinach 7.15–12.30. Informacje, kto może zostać krwiodawcą i jak się do tego przygotować, znajdują się na stronie internetowej: www.krew.gda.pl. **au**

Centrum Informacyjne
Archidiecezji Gdańskiej:www.adalbertus.gda.pl

GOŚĆ GDAŃSKI

gdansk@gosc.pl

ADRES REDAKCJI:
ul. bp. E. Nowickiego 2, 80-330 Gdańsk
TELEFON/FAKS (58) 554 34 15
REDAGUJĄ:
ks. Sławomir Czaję – dyrektor oddziału,
Andrzej Urbański

– Auto powstało na życzenie Ojca Świętego. W czasie swojej pierwszej pielgrzymki do ojczyzny chciał jeździć polskim samochodem – mówi Marek Adamczak, rekonstruktor papieskiego stara z 1979 r.

Od 23 do 26 lipca w naszej archidiecezji mogliśmy zobaczyć i dotknąć zrekonstruowany samochód, którym przed 32 lata jeździł papież Jan Paweł II. Po jego wizycie władze komunistyczne nakazały natychmiastowe zniszczenie pojazdu. Po latach okazało się, że nie do końca skutecznie.

Na tropach części

Decyzję o przystosowaniu wojskowego stara 660M2 podjęto po tym, jak polski Episkopat zwrócił się z papieską prośbą do warszawskiego PIMot-u (Państwowy Instytut Motoryzacyjny). – Pojazd musiał spełniać określone wymagania – wyjaśnia Adamczak. Otóż zamontowana na ramie gondola nie mogła ważyć mniej niż 3 tony. Wcześniej bowiem, kiedy papież był w Meksyku, napierający tłum o mało co nie przewrócił samochodu. Dwa identyczne pojazdy – drugi jako zapasowy – o numerach ram 9226802 oraz 9226712 wykonano w Starachowicach, w Fabryce Samochodów Osobowych im. Feliksa Dzierżyńskiego. Kabinę pomalowano na kolor biały, zamontowano chromowane lusterka, a same ramy pokryto czarną farbą. Na kolor czarny pomalowano w historii samochodu tylko te dwie ramy. – Wszystkie inne, przez zanurzenie, były koloru zielonego. Wozy były produkowane tylko na potrzeby milicji i wojska – wyjaśnia. Natychmiast po pielgrzymce siedmiotonowe pojazdy zostały sprzedane do PGR-ów, jak najdalej od Warszawy, na Pomorze. Pierwszy do miejscowości Głównyce koło Słupska, a drugi (nr 9226712) do pegeeru w Stanominie koło Białogardu. – Samych części szukałem przez rok, a odbudowa trwała pięć lat – mówi Adamczak.

Pan Marek na co dzień prowadzi z synem autoryzowany serwis blacharski

Tu wszystkie części są oryginalne



ZDJEŃCJA KS. SŁAWOMIR CZAJEJ



Wychodzący z kościoła sopocianie chętnie fotografowali się na tle pojazdu

Zrekonstruowany papamobile na Pomorzu

Pomnik papieża na kołach

w Kielcach. – To tutaj powstał ten samochód. Miałem nawet propozycję sprzedaży, ale na niego nie ma ceny. To tak jakby serce sprzedać. Ja się nim tylko opiekuję, a sam samochód jest własnością wszystkich Polaków – mówi wruszony. Marek Adamczak nigdy też nie liczył, ile kosztowała rekonstrukcja. On sam, jak i jego pracownicy, wykonali tę pracę społecznie.

Na Pomorzu Środkowym i Gdańskim

W pegeerze w Głównyicach udało się odkupić zachowaną ramę, tę z numerem 9226802, a do tego inne części silnikowe (m.in. cewkę zapłonową) i zderzak. Wszystkie części są oryginalne, pozyskane ze złomowisk czy od kolekcjonerów prywatnych. – Tu każda śrubka jest oryginalnie od Stara; ma dokumentację i notarialne poświadczenie! – podkreśla pan Marek. Samą dokumentację techniczną pojazdu wykonali studenci Politechniki Świętokrzyskiej.

– Pierwszy tak daleki wyjazd miał być właśnie na Pomorze, bo tak obiecałem ludziom, którzy te części odnaleźli – cieszy się kielecki rekonstruktor. Po Głównyicach samochód przyjechał na lawecie właśnie do nas. Zaczęło się

od ul. Długiej w Gdańsku, potem była gdańska Zaspą, Sopot, Westerplatte i gdańskie Żuławy. W zależności od miejsca albo były tłumy, albo ludzie... przechodzili obojętnie, często nie zdając sobie sprawy, co to za pojazd. – Dla nas wizyta samochodu była niespodzianką i zaskoczeniem. Od rana ogłaszaliśmy na Mszach św., co to za pojazd – cieszy się proboszcz parafii św. Michała Archanioła w Sopocie ks. Marian Krzywda. Tu wychodzący z kościoła ludzie nie tylko oglądali wóz, ale i robili sobie zdjęcia. Gdzie indziej bywało mniej sympatycznie. – Raz nauczycielka powiedziała do dzieci: „O, to jest samochód, w którym strzelano do papieża”. Bywały też komentarze, po co papieżowi był tak duży samochód – mówi o. Piotr Nowak, kapucyn, pomysłodawca prezentacji auta. Ojciec Piotr pracował przed laty w Kielcach, tam też poznał pana Marka.

Szczególnie wzruszający był moment, gdy polski papamobil podjechał pod pomnik Poległych Stoczniovców, słynne Trzy Krzyże, potem zatrzymał się na chwilę pod milicyjnym SKOT-em, który stoi przy wystawie „Drogi do wolności”. – Przyjęcie w gminie Cedry Wielkie było iście królewskie. Moi przyjaciele z Kielc stwierdzili, że tego się nie spodziewali i nigdzie tak nie mieli – cieszy się o. Nowak. A przywitani ich wójt, kapłani z księdzem dziekanem na czele i straż pożarna. We wtorek (26.07) samochód, przed swoją peregrynacją do Chojnic, podjechał „na kołach” pod cmentarz obrońców Polski na Westerplatte. – Szczególny moment, bo i papież tam był, a sami żołnierze, którzy bronili placówki w 1939 r. pochodzili z jednostki w Kielcach – zauważa o. Piotr. Ci, jak wiadomo, wyruszyli do Polskiej Składnicy Tranzytowej 17 marca 1939 r.

Pobyt polskiego papamobila nie tylko dla młodego pokolenia był ważną lekcją historii. **Ks. Sławomir Czaję**

Po ŚMIERCI POLSKICH KAJAKARZY. – Celinę poznałem w maju 1976 r. na weselisku u przyjaciół. Przetkańczyliśmy całą noc. To była dziewczyna i do tańca, i do różańca... Jej przyszłego męża zobaczyłem sześć lat później – wspomina Michał Kocharczyk, znany gdański podróżnik.

tekst i zdjęcia

Ks. SŁAWOMIR CZALEJ

slawomir.czalej@gosc.pl

Tegoroczne wakacje zapisały smutną kartę w środowisku trójmiejskich oraz polskich podróżników i odkrywców. Informacja o zaginięciu Celinę Mróz i jej męża Jarosława Frąckiewicza, a później wieść o ich śmierci zaowocowały jednak także dobrem.

Kajakarze i przyjaciele zamordowanych spotkali się m.in. na Mszy św. w kościele dominikanów w Gdańsku. Przynieśli ze sobą wiosła przewiązane czarnymi wstążkami. Planują też doroczny spływ kajakowy ich imienia. Ale nie tylko. Chcą pojechać na miejsce zbrodni, by tam odprawić Mszę św. Aby zło nie rozprzestrzeniło się. Pragną przebaczyć. O to przebaczenie poprosili ich już sami mieszkańcy okolic rzeki Ukajali.

Po co człowiek jedzie do dżungli?

Informacji o zaginięciu polskich kajakarzy w internecie jest bez liku. Nie ma sensu ich powtarzać. U ludzi, którzy zazwyczaj nie wypuszczają się zbyt daleko, a jeżeli już, to jadą gdzieś z ofertą last minute, po ich przeczytaniu rodzi się pytanie, po co pchać się tam, gdzie jest niebezpiecznie?

Wszystko zależy zapewne od filozofii życia. Bo filozofia to przede wszystkim pytania. Także o rzeczy ostateczne. – Celina była osobą bardzo wrażliwą. Jeśli komuś działo się coś złego, nigdy nie była obojętna – podkreśla Michał. Celina – inżynier – była zarazem osobą bardzo konkretną. Jarek wręcz przeciwnie. Bez jego ducha nie byłoby jednak tematów do marzeń. – Z Jarkiem płynęliśmy Zbrzycą, lewym dopływem Brdy. Przedstawił mi się jako filozof marksista – wspomina podróżnik. Był to czas stanu wojennego i skojarzenia z marksizmem nie były najlepsze... Michał Kocharczyk – z właściwą sobie błyskotliwością – zadał mu wtedy pytanie: „Jaka jest różnica między Marksem i marksizmem?”. Wykładowca Uniwersytetu Gdańskiego zdębiał. Pytający zaraz odparował: „Taka, jaka pomiędzy Kantem a kanciarstwem...”. Nie przepuszczał wtedy, że wiele lat po tym wydarzeniu będzie głównym koordynatorem działań, które pomogły odkryć znaczącą część prawdy o jego zamordowanych przyjaciółach.

Nigdy nie wiadomo, która podróż będzie tą bez powrotu, w najdalszą dal...

W dżungli, którą jej mieszkańcy nazywają Madre Selva, można spotkać różnych ludzi. Chyba nie inaczej jest w dżungli miast czy dżungli naszego życia. I nie są to wyłącznie Indianie. W wiosce Pevas, leżącej nad Rio Ampiiyacu, tuż przy jej ujściu do Amazonki, mieszka urodzony w 1942 r. w Los Angeles Francisco Grippa, artysta malarz. Włoski Żyd, także o polskich korzeniach – jego matka nazywała się Grippa Hajowicz – mieszka w olbrzymim domu bez okien. W jednej jego części stoi wieża. Kiedy artysta ma natchnienie, wchodzi na nią nago, włącza o świcie sprzęt grający i gdy z głośników płynie Symfonia Amazońska, zaczyna malować. Znany jest w świecie jego głośny cykl 22 obrazów zatytułowany „Amazonia: Stworzenie – Rozwój – Zagłada”.

Francisco nieraz słyszał narzekania budzących mieszkańców. Dodajmy: ciche, bo Grippa, którego obrazy uzyskują na aukcjach wysokie ceny, jest miejscowym dobroczyńcą. Ze swoją szóstą żoną, pochodzącą z miejscowej wioski, ma trójkę prześlicznych dzieci. – Nie jestem skazany, żeby tutaj mieszkać. To mój wybór. Martwi mnie los tutejszych ludzi, wyzysk i degradacja lasów przez międzynarodowe korporacje – wyjaśnia. Patrę na jeden z jego niesamowitych obrazów. Ukrzyżowany Chrystus o mocno żydowskich rysach... Idę do kościoła. Pusty. – Jeszcze kilka lat temu byli tu polscy misjonarze. Przeniesiono ich w trudniejsze miejsca, żeby krzewili wiarę. Tutaj, niestety, mnożą się sekty – mówi siostra Griselda z Kanady. Na co dzień opiekuje się kościołem i prowadzi modlitwy.

Bracia Krzyża

Sekty to nie tylko zagrożenie dla wiary. To także niewiedza, przesąd i ciemnota. Ta bywa zabójcza... Płynąc kajakiem w górę rzeki Rio Orosa, jednego z dopływów Amazonki, zobaczyłem stojący na środku wioski czerwony krzyż. Ani chybi, mieszkają tu dobrzy chrześcijanie... Zrobiłem kilka zdjęć, ale bez wychodzenia z kajaka. Mieszkańcy wydali mi się jakoś dziwnie milczący. Podpłynęły do mnie tylko dzieci. Ale nawet po obdarowaniu lizakami kupionymi w Iquitos wciąż były jakoś dziwnie poważne. Po czasie dowiedziałem się, że to miejsce zamieszkuje tajemnicza sekta „Hermanom del Cruz” (Bracia Krzyża), a ich przywódca miał wizję Chrystusa na wodzie, który kazał im zabijać białych ludzi. – Obecnie tego nie czynią – mówi Albert Stugocki, człowiek, który też osiedlił się w dżungli, choć ze zgoła innych powodów niż Francisco. Członkowie sekty są teraz spokojni, ale potrafią w ciągu jednej nocy zwinąć wszystkie swoje rzeczy, domostwa i najwzyczajniej... zniknąć. Nikt nie wie, kiedy tak się stanie i dlaczego.

Celina i Jarek też padli ofiarą przesądu. Nie jest prawdą – o wyjaśnienie tego nieporozumienia walczą ich przyjaciele – że zakłócili jakiś ceremoniał albo rozbili namiot bez pytania o zgodę. Opinie takie wyrazili znani podróżnicy. – Przy takiej okazji wielu ludzi chce zaistnieć... Oczywiście powtarzane są opinie, że nasi kajakarze byli nieprzygotowani, że nie mieli ob-



stawy z bronią, że zakłócili ceremonie – mówi lekko poirytowany Michał. Dziś już wiemy, że nic takiego się nie stało, a Celina nieźle znała język hiszpański. Próbowano jeszcze zważyć sprawę na indiańskie przesady i legendy. Jedną z bardziej przerażających i nadal żywych jest wiara w „pishitacos-gringos”. Otóż przesąd ten każe widzieć w białym człowieku wroga, który zakrada się do indiańskich wiosek, żeby porwać mieszkańców. Intryguje ludzkie twarze i wykraja z nich ludzki tłuszcz. Ten służy do smarowania dzwonów kościelnych, żeby lepiej brzmiały, jest dobrym lekarstwem na reumatyzm i złamania kości, a także służy do... produkcji paliwa lotniczego.

Przesądów na pewno byłoby mniej, gdyby mieszkańcy Amazonii mogli chodzić do szkoły... Rząd wprawdzie podjął akcję budowy budynków szkolnych w większych wioskach (koszt 25 tys. dolarów), z 5-letnim programem edukacji, ale do niedawna dzieci uczyły się tylko trzy lata. Problemem jest znalezienie nauczyciela. Ci po kilku tygodniach spędzonych w dżungli zazwyczaj uciekają do miasta.

Mali mieszkańcy Amazonii wciąż są skazani na życie w biedzie i brak dostępu do oświaty

W jednej z wiosek Santa Ursula spotkałem człowieka, którego około 8-letnia córeczka miała połamaną nogę. Kawałek pogruchoanej kości przebiła skórę. Tu i ludzki tłuszcz by nie pomógł... Średnia życia Indian nie przekracza 46 lat. Problemem jest alkoholizm, a przyczyną większości chorób – pasożyty. Szczególnie u dzieci pasożyty robaki, które przez lata zżerają ścianki jelit. Gdy w wieku „dorosłym” wypiją miejscowy alkohol, robiony ze sfermentowanego manioku, zwanego też juką, w wyżartych przez pasożyty dziurach dochodzi do perforacji skutkującej śmiercią. Ofiarami śmiertelnych wypadków padają też kobiety, które pielęgnują plantacje manioku. Żywią się nim szczury, a za nimi przybywają węże... Najgorszy to Lacheis muta muta, groźnica niema, zwana tu Bush master. Surowica praktycznie nie istnieje, a znane są przypadki ataku żmii w parach. Wąż bywa do tego stopnia agresywny, że potrafi gonić ofiarę, rolując się, gdy ta ucieka ze wzgó-



Pamięci dobrych ludzi



Wyjeżdżali pełni nadziei na lepsze życie. Do ilu spośród nich los się uśmiechnął? Przed fotografią Aleksander Gosk

Perły Pomorza (VI)

Dworzec łez i nadziei

– W przedwojennym reportażu, który ukazał się w magazynie „Life”, budynek Dworca Morskiego w Gdyni był przedstawiony jako jeden z najważniejszych i najpiękniejszych w Polsce – mówi Jacek Debis, dyrektor projektów strategicznych w Agencji Rozwoju w Gdyni.

Na dzisiejszą letnią wędrowkę proponujemy miejsce nieco zapomniane. Miejsce, które było świadkiem często trudnych i dramatycznych polskich losów. Stąd za chlebem wyruszyły dziesiątki tysięcy osób. Dzisiaj rzecz o polskim Ellis Island, czyli powstającym w Gdyni Muzeum Emigracji.

Za chlebem

Pomysł na upamiętnienie polskiej emigracji zrodził się w głowach władz Gdyni jakieś dwa lata temu. Od początku wielkim promotorem powstania placówki jest prezydent Wojciech Szczurek. – Naszym celem jest ukazanie całego zjawiska emigracji, nie tylko „epizodu gdyńskiego” – wyjaśnia Aleksander Gosk, pełnomocnik prezydenta miasta ds. muzeum. Warto przypomnieć, że zanim powstała II RP, poza granicami Polski żyło aż 4 300 000 Polaków, z czego aż 1 900 000 w USA! – Wyjeżdżali z polskich ziem masowo w II poł. XIX w. za chlebem. To było po powstaniach, państwo polskie nie istniało – przypomina. Pierwsi emigranci z samej Gdyni odplynęli już w 1923 r.

Jednak symbolem emigranta, gdyńskim miejscem magicznym, jest Dworzec Morski,

oddany do użytku w grudniu 1933 r. Monumentalna bryła budynku, w stylu gdyńskiego modernizmu, z licznymi magazynami, używanymi zresztą do dziś, to dzieło spółki „Dyckerhoff&Widmann”, oddział w Katowicach. W środku hol, wielkie schody, gdzie przed wojną raz w tygodniu odbywała się Msza św. dla pracowników portu.

– Do lat 80. XX w. ludzie przemieszczali się z kontynentu na kontynent przede wszystkim statkami pasażerskimi. Także ze względu na cenę – zauważa A. Gosk. Potem tę rolę przejęły samoloty. Rząd polski starał się w miarę skromnych funduszy ulżyć doli uchodźców ekonomicznych. I tak w styczniu 1930 r. powstał Syndykat Emigracyjny, spółka państwowo-prywatna (60 proc. udziału państwowego, 40 proc. udziału miały koncesjonowane towarzystwa okrętowe), której zadaniem była m.in. walka z nielegalną działalnością linii okrętowych (syndykat załatwiał bilety, godne warunki transportu etc.). – Wiadomo, że gdzie jest transport ludzi, tam są też nie tylko pieniądze, ale również naciągacze i złodzieje – podkreśla pełnomocnik. W latach 30. XX wieku stworzono na Grabówku etap emigracyjny (dzisiaj znajduje się tam jednostka rakietowa). Ludzie oczekiwali w tym miejscu na statek, nierzadko byli myci, odswadzani czy pouczani o zachowaniu na pokładzie. Emigranci jechali często ze swoimi księżmi, żydowskimi rabinami, stąd na etapie była zarówno kaplica katolicka, jak i żydowska bożnica. Z Grabówka, gdzie spędzali czasami dzień, a czasami i tydzień, emigranci byli transportowani specjalną linią kolejową wprost pod statek. – Ci prości ludzie, często z ubogich terenów, podczas postoju mogli sobie zwiedzać Gdynię. Na tym etapie mieli zapewnił wikt i opierunek – wyjaśnia A. Gosk.

Polskie transatlantyki

Jednym z priorytetów naszego kraju była budowa nowoczesnej floty pasażerskiej. Pod koniec lat 30. XX wieku była ona imponująca jak na młode państwo. Wszyscy pamiętamy jednak legendarnego „Batorego” i jego następcę „Stefana Batorego”. Ludzie przed wypłynięciem w rejs, żegnani przez całe rodziny, robili sobie pamiątkowe fotografie. Jest ich w Polsce tysiące. – W okresie PRL-u zdjęcia robili jedynie koncesjonowani fotografowie, tak żeby pokazać tylko rodzinę i dziób statku z nazwą jednostki – zauważa Gosk. A to dlatego, że na lewo od dziobu



znajduje się baza okrętów wojennych, a samo fotografowanie w porcie było bezwzględnie zakazane. Na jednym ze zdjęć, obecnie w zbiorach muzeum, stoi liczna rodzina państwa Małekich z podlubelskiej wsi, żegnająca dwóch młodych chłopaków. Na innej fotografii, z 1937 r., do Polski przybywa amerykański ambasador. W strukturze emigracyjnej nie zapomniano i o kwarantannie, czyli szpitalu różnego rodzaju chorób zakaźnych, także tych egzotycznych, na Babich Dołach. Zachowała się „Samarytanka” – motorówka, która dowoziła lekarza portowego do szpitala (budynek do dzisiaj istnieją na terenie jednostki wojskowej). Była ona przy okazji pierwszym statkiem zbudowanym w Gdyni (!), który zachował się do dzisiaj i będzie własnością muzeum.



Sam budynek dworca w 1943 r. został trafiony podczas bombardowania portu. Niemcy nie odbudowali już lewej wieży. Budynek przejdzie rewitalizację, w odbudowanej wieży powstanie restauracja. – Mam nadzieję, że uda się też zrekonstruować polskie orły, które zostały skute przez hitlerowców – zdradza Jacek Debis. Chociaż otwarcie muzeum planowane jest na rok 2014 (przewidywany koszt robót to ok. 20 mln zł), już teraz warto zobaczyć wystawę wewnątrz muzeum w holu i na piętrze. Wielkie wrażenie robią olbrzymie fotografie polskich emigrantów udostępnione przez muzeum w Ellis Island. To podobna placówka w USA, znajdująca się na wyspie k. Manhattanu, gdzie mieściło się główne centrum przyjmowania emigrantów do Nowego Świata. Nie zawsze lepszego.

Ks. Sławomir Czajej

Pytanie konkursowe nr 6:

Wymień nazwę chociaż jednego polskiego transatlantyku. Zwycięzcami konkursu w tym tygodniu są: Maciej Downarowicz z Gdyni, Stanisław Matusiewicz z Gdyni i Wojciech Dusza z Gdańska.